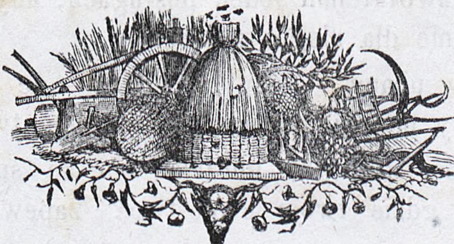
Tom II.  Nr. 6.

21. Lutego 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O dumnym królu.

Podanie.

Był sobie jeden król, mający dużo krajów i mnóstwo luda pod sobą; z tej tedy możności swojej w taką się wzbił pychę, iż mniemał, jako nadeń nie ma już potężniejszego Pana na świecie. Zdarzyło się, iż pewnego czasu gdy poszedł na nieszpór, usłyszał księdza czytającego z Ewanielii świętego Łukasza takie wyrazy: *Pan Bóg mocarzów z tronu spycha, a maluczkich wywyższa.* Rozgniewały króla te słowa tak dalece, iż wydał rozkaz, aby miejsca tego w Ewanielii nigdy nie czytano, żeby o nich nikt nie wiedział, i żeby je całkiem wymazać z ksiąg świętych. Rozkaz ten ogłoszono po wszystkim kraju księżom i zakonnikom; księgi zaś, w których te słowa stały, publicznie spalono. A tak wszelkiemi sposoby ona myśl wytępioną została.

Owóż pewnego dnia, gdy król udał się był do kąpieli, Pan Bóg, chcąc go ukarać za świętokradztwo dokonane na słowach Ewanielii, zesłał anioła na ziemię, który przybrał na się królewską postać, i wszystkich oczy taką ślepotą nawiedził, iż go

mieli za króla, a prawdziwego króla nie poznawali. Gdy tedy król wyszedł z kąpieli i usiadł na ławeczce, na której wprzódy anioł siedział, zawołał nań jeden posługacz, aby wstał i precz poszedł, bo to nie dla niego miejsce.

— Czyś ty pijany — zapytał król — że tak śmiesz do mnie mówić? czy mię nie poznajesz, wszakem twój król i pan?

— A widzisz go! — odrzekł ten ze śmiechem — to mi to król! A gdzie twoje królestwo? zapewne pod wschodami?

— Bluźnierco! — wrzasnął król, siniejąc od gniewu, i porwał wiadro i cisnął na głowę posługaczowi. Parobcy posłyszawszy zgiełk, wypadli hurmem i tak porządnie królewskie plecy wysmarowali, żeby był może i na miejscu został, gdyby nie anioł, który w postaci króla się zjawił i wyratował go z rąk czeladzi.

Poczem anioł oblekł się w kosztowne królewskie szaty, i w orszaku dworzan z wielkim przepychem poszedł na królewski zamek. Prawdziwego zaś króla prawie nago wypchnęli za drzwi parobcy — stanął więc sobie przed drzwiami, trząsł się i nie wiedział co począć. A tymczasem pospólstwo zbierało się około niego, żacy naigrawali się i drażnili, właśni nawet słudzy wyprawiali mu psoty, bo rzeczywiście nikt go nie poznawał. W rozpaczy nie wiedząc co robić, wyrwał się naguteńki z tłumu ludzi i pędził przez ulice. Za nim wysypała się hurma chłopców i obrzucając błotem, dalej go prześladowała, aż wpadł do mieszkania jednego z swoich najpoufniejszych dworzan. Na nieszczęście odźwierny nie chciał go wpuścić i pytał kto jest?

— Jestem król; czy mię nie poznajesz? — odpowiedział.

— Pójdź precz, szaleńcze! — ofuknął odźwierny — jak świat i korona polska nikt jeszcze takiego króla nie widział.

Ale król, jak zaczął krzyczeć i wywoływać, tak też i ów dworzanin usłyszał, a wyszedłszy do sieni, spytał o przyczynę. Odźwierny na to: — Jest tam na ganku jakiś z przeproszeniem warjat, goły jak palec, który się mieni być najjaśniejszym królem naszym; wszystkie paupry i uliczniki gonili go aż na dziedziniec.

— Wpuścić tego biedaka! — odrzekł litościwy dworzanin — dajcie mu czem pokryć grzeszne ciało i nakarmcie jeżeli głodny.

Stało się według rozkazania pańskiego. Poczem przybranego wprowadzono przed onego dworzanina, który go także nie mógł poznać jako swego monarchę. Co widząc król, pełen rozpaczy zawołał: — Przyjacielu! musisz mię uznać za pana, czy chcesz, czy nie chcesz; chociaż, wyznam otwarcie, że dziś ociężała ręka Boska nade mną. Przypomnij tylko sobie o tem, cośmy w mojej izbie mówili wczoraj rano; przypomnij sobie, jaki ci dawałem rozkaz, i jak odpowiedziałeś, że takie rozkazy nie zgadzają się z godnością królewską. — I jeszcze wiele podobnych tajemnic przytoczył dworzaninowi, który na nie rozśmiał się tylko i rzekł: — Prawdać to wszystko co mówisz, ale kto wie czy nie szatan podpowiedział ci te tajemnice! — A król znowu: — Jakkolwiek mogłem zasłużyć na nieszczęście, jakie mię spotyka, wszelako w duszy wierzę i czuję, żem sprawiedliwy wasz król i pan.

Nie sprzeciwiał się mu dworzanin, wiedząc, iż nic bardziej nie jątrzy szalonych, jak przeciwieństwo. Nakoniec kazał go nakarmić i pomyślał sobie, że o tak osobliwym wypadku nie omieszka donieść królowi.

On, jako pierwszy dworzanin i przyboczna rada królewska, takie miał znaczenie we dworze, iż o każdym czasie miał przystęp do boku pańskiego; zatem niebawem udał się na zamek, gdzie znalazłszy anioła, opowiedział mu swoją dziwną przygodę z owym szaleńcem. Anioł kazał mu, aby tego mniemanego króla przyprowadził. Cały dwór ciekawy zebrał się w wielkiej sali, a służba cisnęła się po wschodach i sieniach. Owóż kiedy dworzanin wprowadził upokorzonego króla, wszyscy ze śmiechem nań wskazywali, wołając: — Witaj królu bez królestwa!

Anioł siedział w złocistej szacie obok pięknej królowej na tronie, i przywitał samozwańca, w którym krew nienawiścią zawrzała, gdy ujrzał go siedzącego obok własnej jego żony. Poczem anioł rzekł: — Czy prawda, żeś ty królem tego królestwa? — A zapytany odparł: — Jeszcze to miejsce może nie zastygło, kiedym tu siedział i królował, — a potem obra-

*

cając się do królowej: — A tyż małżonko moja, czy także mię nie poznajesz, mnie, twego pana, który cię z prochu podniosłem do godności królowej?

Mowa ta zuchwała wielkiego wstydu nabawiła dostojną panię; — więc obracając się ku aniołowi, rzekła: — Małżonku mój i panie, co ten szaleniec bredzi? — Któryś z panów, widząc tę zniewagę majestatu, już był dobył szabli i chciał zuchwalca skarcić — inni dworzanie toż samo rwali się doń, i pewnie byliby go pozbawili życia, gdyby ich anioł nie wstrzymał, i z dobrocią wziąwszy króla za rękę, nie zaprowadził do pobocznej izby. Tam odezwał się do niego w te słowa: — Powiedz mi, czy wierzysz, lub nie wierzysz, że Pan Bóg ma moc nad wszystkiemi stworzeniami swemi? Przekonaj się, jak jego potęga potrafiła cię poniżyć! Na cóż ci teraz zdały się ogromne twoje wojska, mocne twierdze i zamki? Widzisz bracie pyszałku, że nie zginęła ta święta prawda: *Że Pan Bóg mocarzów z tronu spycha, a maluczkich wywyższa!*

Tak mówił anioł, a król pytał ze drzeniem: — Któż jesteś człowiecze? Jestliś ty Bóg wszechmogący, o którym powiadasz? Jeżeliś nim jest, ulituj się nademną biednym, złośliwym i ciemnym!

— Bogiem nie jestem — odparł anioł — lecz posłańcem Jego, i prawym sługą Chrystusa. On to mię posłał z karą na twoją zapamiętałość. Bóg podwyższa i poniża kogo mu się podoba! Dla czego prześladowałeś tę świętą prawdę?

Jak długi upadł król do nóg anioła i prosił o łaskę Boską nad sobą i o przebaczenie winy. Anioł kazawszy mu powstać, tak przemówił: — Potrzeba abyś wierzył w te słowa pisma świętego, ogłaszane przez kapłanów kościoła! Powinieneś być litościwym dla tych, którzy w ten sposób skarzą się na swoją niedolę! Masz sprawiedliwość wymierzać równie dla maluczkich jak możnych! Przystajesz na to, a więc znowu wrócisz do władzy berła i zaszczytu korony.

Król znowu się upokorzył przed posłańcem Boskim, ukląkł i rzekł: — Posłuszen ci będę, tylko wyrób mi łaskę pańską! — I anioł podał mu rękę, i przyoblókł go w szaty królewskie,

i wrócił królewską postać. Poczem anioł znikł z oczu królewskich, unosząc się w niebiosa na łono przedwiecznego Ojca.

— Niechże będzie chwała Jezusowi Chrystusowi! — mówił po chwili król w zamyśleniu, — wszystko to święta prawda co mi anioł powiedział! — I wyszedł z izby z takiem obliczem, jakby mu nic się złego nie przytrafiło, a gdy go dworzanie pytali: co się z szaleńcem stało, — on, przyzwał królowę i wszystkie dworzany w koło siebie, i opowiedział im wszystko, przez co przechodził, nie pomijając i kłótni z posługaczem w kąpieli i z parobkami, i pokazując na dowód guzy i sińce na ciele. Dworzanie słysząc to, byli już w obawie, że łaskę stracą za owe naigrawania i kułaki; sama nawet królowa starała się go zapewnić na rzeczy najświętsze, iż bynajmniej go nie poznała; lecz król przycisnął ją do serca i rzekł: — Nie wymawiaj się żono moja, Panu Bogu się tak podobało ukarać mię! Cóż dziwnego, żeście mię nie poznali, kiedy ja nie znałem sam siebie?

Zaraz tedy wydał rozkaz, aby owe słowa, co je kazał wymazać z Ewanielii św. Łukasza, na nowo w księgach zapisano, i czytywano w kościołach, i odtąd był pokornym i dobrym panem. Kto zaś to podanie przeczyta, niech westchnie i prosi Boga, aby go zachował od zbytniej pychy i zarozumienia.

(*Cz. P.*)

ZE DZWONA

o smętarzu wiejskim gadanie.

W pośród cichej doliny
Stoją lipy kaliny;
Wiatr obrywa liść kruchy,
I niesie zwiędły, suchy.
Szumią trawy mogilne,
Gną się krzewy bezsilne;
Czasem z piasku pościeli
Ludzka kość się zabieli,

I na kąty struchlałe,
Pokaże szczęki białe,
Ciemnemi spojrzy oczy,
Z których się piasek toczy,
I z zazdrości się chmurzy:
Że tyle stoi wzgórzy,
A jej domek wiatr burzy,
Rozrzuca ściany chłodne,

I posłanie wygodne —
Że ją zimny deszcz rosi
A kości kruk roznosi,
Białe żebra, piszczele,
Leżące przy kościele —
A sówka się chichocze,
Ze się oto kłopocze.

A dalej jeden z krzyży,
Jak najstarszy z żołnierzy,
Stoi w środku najwyżej:
Radby spoczął od stania,
Skrzypi, k' ziemi się skłania,
Od onych wichrów wiania;
Ale mu rozkaz dano,
Strzedz swą wiarę rozsianą,
Pokąd nie zmartwychwstaną.

Dalej brzózka żałosna
Co łzy sączy co wiosna,
I zawijką swych liści
Zarośnięty grób czyści..
Jak to poszła od ziemi,
I już równa z drugiemi.

A ten jawór zielony,
Dawnoż temu sadzony?...
Będzie... pamięć zawodzi,
Coś na szósty rok schodzi
Jak Jan pornął na łodzi, —
A powrócił bez łódki
Sztywny, zimny, cichutki —
. . . .
Kto też po nim nie szlochal!
Kto Janosza nie kochał...
Lecz łzy ludzkie pocieką!
Dziś pod drzewa opieką
Już mu dobrze i lekko,
Żadna mu łza nie cięży,
Tylko chłodny liść rzęży.

A kalina liściasta,
Już mi bramę przerasta,
I na drugą na stronę,
Zwiesza liście zielone,
I na lewo, na prawo
Coraz kapnie łzą krwawą.
Zatęskniła się młoda,
Krew zwyczajnie nie woda,
Ciche, dobre, hej szkoda!...

Zabrali go w sołdaty,
Popędzili za światy,
Kęś na Sybir daleki,
Popędzili na wieki,
Popędzili kozacy,
A był sprawny do pracy.

Matka idzie a płacze:
— Kiedyż ciebie zobaczę?
Co odchodzi nie ginie,
Bacz o dzieciach, o żonie...
. . . .
Hej jak kamień popłynie,
Jak to piórko utonie...

Cicho w głuchej ustroni,
Tylko stary dzwon dzwoni;
I gdy wioska ucichnie,
Słowik śpiewa Marychnie
Od wieczora do rania,
Aż głucho od śpiewania...
A ludzie słuchać muszą, —
Panie świeć nad jej duszą.

T. Lenartowicz.

Jarmark na ś. Annę.

W miasteczku był jarmark na świętą Annę, a ze wsi Smolęcina biegło wszystko, iście gdyby na odpust jaki. A było właśnie po deszczu, bo przez noc całą, gdyby z wiadra lało — to i nie kurzyło się wcale i słonko nie dopiekało.

Wojtek Basaj, najraźniejszy z całej wsi parobczak, a zasobny przytem, bo syn jedynak u matki wdowy, włożywszy na siebie suknie świąteczne, także się w drogę zabierał.

— A kiedyż powrócisz? — zapytała matka, spojrzawszy z upodobaniem na jedynaka — abym wiedziała kiedy ci tam pożywienie sporządzić.

— Powrócę, matusiu, nim na *Anioł Pański* zadzwonią, boć i nie wielkie mam interesa na jarmarku, jeno kosę kupić i od Szmula te pare złotwin odebrać, co mi je niecnota jeszcze winien. Pałkowie już poszli, a byłoby mi raźniej iść z niemi.

— Wstąp do Gieruszków: — Stacho poprowadzi krowinę na jarmark, co im zjałowiała do szczętu.

— No, to i bywajcie zdrowi, Matusiu. Panu Bogu oddaję.

— Niech cię Matka najświętsza prowadzi, mój synu! — poczciwe matczysko zrobiło znak krzyża świętego, wyszła za nim i stanęła w progu domostwa, bo aż niby napatrzeć się na niego nie mogła — wyrósł gdyby topol, a był pracowity i zaradny, jak pan Bóg przykazał: i do tańca i do rożańca — i do Boga i do ludzi.

Wojtek szedł sobie przez wieś i pogwizdywał wesoło, a naprzód już wysełał oczy ku jednemu domostwu na lewo. Ej, boć też tam mieszkała dziewucha, gdyby malina, Małgosia Sroczanka, za którą wszyscy okoliczni parobcy zerkali. Wojtek aż się wyprostował, gdy pod okna ładnej Małgośki podchodził. Ale tam nikogo dziś widać nie było — i wszedł do domostwa. Izba była jeszcze nie zamieciona, na kominku ogień przygasł, główienki się powywracały, w koło stały garnki nie poumywane,

miski i łyżki — a wszystko w nieładzie. Na łóżku leżała kobieta z przewiązaną głową i raz po raz postękiwała.

— Niech będzie pochwalony... — ozwał się Wojtek.

— Na wieki... — odrzekła kobieta i spojrzała ku wchodzącemu.

— A cóż wam to, gospodyni? Czy, oj, chorujecie?

— Jużcić zaniemogłam w nocy ogniście — odrzekła Sroczyna.

— No, i tak jeno sami zostajecie?

— A bo mój jest w polu przy robocie, zaś Małgośka poszła z drugiemi na jarmark.

— To i któż wam tu poradzi w potrzebie?

— Przyjdzie Rózia Gieruszkowej i poratuje mnie kąsek.

— No, to i zostańcie z Bogiem!

— Bóg zapłać, miły chłopcze!

Wojtek szedł znowu dalej — ale jakoś mu się niby gwizdać nie chciało. Doszedł do domostwa Gieruszków, a gdy do sieni wchodził, posłyszał pieśń ładną, pobożną. Wojtek przystanął na chwilkę, a potem wszedł do izby.

W izbie czyściutko umiecionej stała na środku młoda dziewucha i masło robiła. Pod ścianą były dwa łóżka z porządną pościelą, równiuchno usłane, a nad niemi wisiały obrazy święte, umajone gałązkami świeżemi. Stoły, ławy i zydle było czysto umyte — a na pułce stały garnki i miski w porządku. W kominie ogień był przygaszony i popiół umieciony. Przy oknie obok skrzynki niebiesko pomalowanej, stał kołowrotek z cieniuchną przędzą. Wszędzie był ład i porządek, jak się przynależy.

Dziewucha, która sobie przy pracy śpiewała, nie była bardzo urodziwą, ale wyglądała czerstwo i zdrowo, i wcale jej wesoło patrzyło z niebieskich oczów. Miała na sobie czyściutką koszulę, sznurówkę granatową, cycową spodnicę i zapaśnik płócienny w prążki; włosy płowe gładziutko uczesane i warkocz na plecy spuszczony.

Wojtek stanął we drzwiach i pana Boga pochwalił.

— Na wieki... — odpowiedziała dziewczyna i poczerwieniała jak wiśnia.

— Jenoś to sama, Róziu? — zapytał parobek.

— A jużci, bo matusia już, oj, długa chwila, jak poszli ze Stachem na jarmark.

— Bódajś!... syknął Wojtek — a toćżem się spóźnił. I tyżeś na jarmark nie poszła, Róziu?

— A ja po co? W domu jest robota, a na jarmarku całe żadnego interesu nie mam.

Wojtek spojrzał na dziewuchę — i powiódł oczami po całej izbie; a było aż popatrzeć miło, że tak wszędzie czysto i schludno.

— Kiedyć-ta już poszli — wymówił znowu — to i ja za niemi poskoczę, a może i dopędzę jeszcze. Niech będzie pochwalony...

— Na wieki...!

Wojtek szedł szparko bo spieszno mu było — i tuż pod lasem dogonił kilka dziewuch i gospodyń smolenieckich, jako też i dwóch parobków.

Małgosia była wystrojona w bieluchną jak śnieg spodnicę, w czerwoną sznurówkę i zapaśnik zielony. Przy warkoczu piękne uwiesiła wstęgi i okapiła się od słońca żółtą chustką. Chichotała się ciągle, białe wyszczerzała zęby, głaskała włos ciemny — a oczy, gdyby węgle, tam i sam latały. Baraszkowałać też ze wszystkiemi.

Wojtek gromadkę powitał, a dziewuchy spojrzały na niego i poczerwieniały; znać każda chciałaby się spodobać młodzianowi chwackiemu.

— Małgosia idzie na jarmark, a matka w domu chora leży — zaczął, zbliżywszy się do niej.

— Jeno tak ją, oj, przeszło trochę zwyczajnie, i nic jej nie będzie — odrzekła lekkomyślnie dziewczyna.

— A jakież tam pilne interesa masz na Jarmarku?

— Wstęgę nową muszę sobie kupić na odpust do jarmulca.

— Daj go katu! A przecież ich masz tyle, i wszystkie gdyby tęcze jakie — i ujął końce wstążek, które się z pod chustki zwieszały.

— Gadałbyś! Stareć to już i uprzykrzyły mi się — odpowiedziała twarz krzywiąc.

Wojtek szedł obok niej, ale tak jakoś posmutniał, że mu się i zagadać odechciało. Inni gwarzyli, spiewali, a on wyglądał gdyby sęp jaki.

Tak i doszli do miasteczka. Wojtek poszedł za swojemi interesami: kupił kosę, a wybierał z jakie pół godziny; odebrał pieniądze od Szmula, kupił dla matki pare polewanych garnuszków i rządek kołaczów — a potem poszedł w rynek i jakoś znowu z dziewuchami się zeszedł.

Małgosia zajadała piernik i kupowała wstęgi, śliczności! Kupiła jednę i drugą, i czystem za nie płaciła śrebrem.

— Jakież to drogie, niech je kaci porwą! — pomruknął Wojtek, pokręcając głową.

— Ba i prawie! Co ma być drogie! Nie znasz się ani *krzty!* — skrzywiła się Małgosia, kładąc w koszyk kupione wstążki.

— To i powrócicie już teraz do Smolęcina? — zagadał Wojtek znowu, zwracając się do dziewcząt — pójdziemy razem.

— Oj, widzicie go! żeby też już wrócić, nie używszy jarmarku! — zawołała Małgosia i drugi piernik zajadać poczęła.

— A cóż-że myślisz tu jeszcze poczynać? zapytał Wojtek kwaśno.

— Co? Oj, u Gołobuckiej gra katarynka ogniście, i pójdziemy potańcować trochę. Poszedłbyś i ty z nami!

— A przecie matuś twoja doma choruje!

— To jeno trochę tak ją ziąb przeszedł... Chodźcie dziewuchy! Chodźże Wojtku!

Pobiegły naprzód. Wojtek wolniej szedł za niemi. A gdy weszły do Gołobuckiej, i Małgosia z jakimś parobczakiem na dobre wywijać poczęła — Wojtek wcisnął kapelusz na oczy, machnął kijem sękatym, zaklął jakoś i ruszył z kopyta ku domowi.

Jeszcze dobrze przed zachodem słońca do Smolęcina powrócił. Idąc obok mieszkania Sroki, wstąpił by zobaczyć, jak tam Sroczyna się miewa.

Leżała biedaczka w łóżku i stękała. Ale izba była umieciona, sprzęty pomyte i poustawiane w porządku.

— Jakżeż wam, gospodyni? — zapytał Wojtek, pochwaliwszy Pana Boga.

— Nic mi, oj, nic lepiej.

— A możeby wam matusię przysłać i czy nie żądniście czego?

— Toćże tu była Rózia, posprzątała i zgotowała mi też kąsek polewki... A Małgośka rychło tam powróci? — zapytało matczysko.

— Pewnieć i wróci. Przyślę wam matusię.

— Bóg ci zapłać i Matka Najświętsza!

Wojtek wybiegł — niby sobie gwizdał, lecz był zły gdyby osa.

Zajrzał do domostwa Geruszków — w sionce leżała płachta z świeżo pożętą trawą dla krowiny. W izbie nikogo nie było — lecz palił się ogień na kuchni i jakaś tam w czystych garnkach gotowała się wieczerza.

Wojtek wychodząc z chałupy gwizdnął sobie niby raźniej — w tem posłyszał wesoły śpiew Rózi. Zajrzał po za płot chróściany; dziewucha siedziała na zagonie warzywnym i pełła.

— A co tam robisz, Róziu? — zagadał do niej, a jakoś mu miło było na sercu.

— Widzisz, że zielsko wyrywam — odrzekła Rózia — a snadno to idzie po deszczu.

— Jeno że tam z garnków tymczasem wykipi.

— Gdzie tam! Już to ja utrafię, by nie wykipiało.

— Szczęść Boże! — i Wojtek szedł dalej, po pare razy obejrzał się za siebie, coś tam głową pokiwał, a potem wcale raźno zagwizdał.

Gdy przyszedł do domu i powiedział matce, że Sroczyna nie domaga, zawinęła się zaraz poczciwa kobiecina i pobiegła do sąsiadki.

Małgosia późno wróciła z wstęgami i paką pierników, w sponiewieranych sukniach, a jeszcze i żółtą chustkę zgubiła.

Biedna Sroczyna przez cały tydzień chorowała. Przytem i zmartwiła się trochę, bo Małgośka żaliła się przed nią, że Wojtek chodzi koło niej, gdyby zmyty i ani spojrzy, ani zagada — a nawet cale odwraca się od niej.

Dnia jednego zamówiła się umyślnie do Basajowej o poży-

czenie motowidła, właśnie w samo południe, kiedy wiedziała, że Wojtka napewne w domu zastanie.

Weszła, pochwaliła Pana Boga, zagadała do Basajowej. A Wojtek ledwo spojrzał, jeno tam coś kozikiem strugał.

Basajowa poszła po motowidło do komory, a dziewucha przystąpiła do parobka.

— Cóż, oj, tak strużesz, Wojtku? zapytała, białe pokazując zęby.

— Aby nie próżnować: ząb do bronów — odrzekł, i ani podniósł na nią oczów.

— Jakoś osowiałeś i zmarkociałeś niby?

— To, bo i człek tak zmienia się z czasem.

— A jakiż to ciebie kur opiał?

— Com go, oj, na jarmarku kupił. — Wojtek się porwał i szybko z izby wybiegł.

Małgosi aż świeczki w oczach stanęły.

Nadeszła Basajowa z motowidłem. Pogadały coś tam jeszcze — a potem dziewucha poszła do domu, *jakby nie swoja, jak cudza* — i aż pobladła nieboga.

Na tydzień potem, we czwartek, były *wsględziny* czyli *pytanki* u Gieruszków — gospodarz Pałka poszedł tam z Wojtkiem jako drużba, by o białą, zabłąkaną, dowiedzieć się gąskę. W sobotę odbyły się na dobre *zmowiny* czyli *zrękowiny*, — a w niedzielę spadli z ambony: Wojciech Basaj i Rozalja Gieruszkówna.

Żałko tam było pono Małgośce, gdy o tem posłyszała. Ale dobijała wszelako na weselu w nowiuteńkich szmatach i wstęgach.

Wojtek zaś często powtarzał: że ten jarmark na św. Annę dopiero mu rozumu do głowy napędził, poznał się na poczciwej pracowitej Rózi; że Małgośce jeno stroje na myśli a reszta za nic — i że uroda na licho się zdała, kiedy przy niej nie ma pracy, statku — i cnoty.

Małgośka zawsze pozostała jednaką, i też męża nie znalazła.

Paulina z L. Wilkońska.

KOLEJ ŻELAZNA.

Rozmowa Grzeli Łopucha z Walentym ze Smolnicy.
(Dokończenie.)

Wysłuchawszy wszystkiego tego, co opowiadał Grzela, odezwał się Walenty:

— Bogiem a prawdą, największe to wasze i was wszystkich nieszczęście, że najczęściej tam tylko chcecie własnym dochodzić rozumem, gdzie rozum wasz nie wystarcza zgoła. Jak macie kupić lub sprzedać wieprza roczniaka, to wszystkich znajomych i nieznajomych prosicie o radę, a kiedy jakieś ujrzycie dziwo, to do własnej głowy idziecie po rozum, i ani wam w myśli zapytać kogoś mędrszego od siebie.

— Grzela. Ta co tam pytać kogo? kiedy powiadam wam i ja i Bartek Krzywonos i Kuźma Ciołek wpadliśmy zaraz na jedno, że to diabeł, taj diabeł.

— Walenty. Nie dziwię się temu, mój Grzela! diabeł przykuty na wieki do ciemności, przewiduje się zawsze jeno po ciemku — toć i w waszych głowach musi być ciemno jak w rogu, kiedy pierwsza myśl zaraz o diable. Na własne oczy widzieliście rzecz która was tak zadziwiła, a nie umiecie jej nawet nazwać po ludzku. Ciągle wam na języku jakiś *Ajzyban*, co to ani niemieckie, ani polskie słowo, ale tak jakieś pomieszane, że jeszcze stokroć gorsze od cygańskiego lub żydowskiego.

— Grzela. Kiedyć bo tak mówił ten stróż, co stał przy rogatce.

— Walenty. I cóż z tego? Toć gdyby ten stróż mówił po cygańsku, to i wy zaraz uczciwą gębą gospodarską macie cygańskie szwargotać słowa? Dla czegóż nie mówicie *kolej żelazna*, kiedy to jakoś i milej i dźwięczniej dla ucha i zrozumialej dla każdego.

— Grzela. Tać prawda, ale mniejsza o to, niech tam sobie będzie i kolej żelazna — jeno że ja zawsze obstaję przy swojem że to sprawa czartowska.

— Walenty. Tak ci samo czartowska jak i pług i brona i młyn i młocarnia i sieczkarnia — wszystkoć to polega na

wymyśle ludzkim. Rozum ludzki co wynalazł pług, bronę, młyny, młocarnie, sieczkarnie, doszedł powoli i do wynalazku kolei żelaznej. A żebyście tylko zechcieli posłuchać uważnie, tobyście sami własnym poznali rozumem, że nie ma w tem nic tak dziwnego, żeby aż diabła trza wzywać do pomocy.

Grzela. Zaco bym nie posłuchał? posłucham, byle tylko lazło do głowy, bo to przecie rzecz bardzo ciekawa jak się taki cud dzieje na świecie, jak mówicie bez pomocy diabelskiej.

Walenty. A powiedźcie mi, mój Grzela, jeżeli wodę gotujecie w garnku a przykryjecie ją mocno pokrywką, jak myślicie, to diabeł podnosi pokrywkę kiedy woda zaczyna kipić?

Grzela. At co też gadacie! a cóżby tu, odpuść panie, zły duch miał do czynienia! Toć nie co, tylko para podnosi pokrywę.

Walenty. Otóż dowiedźcie się, że nie co, tylko para ciągnie wozy po kolei żelaznej.

Grzela. (zdziwiony): Co też to gadacie para! para! (śmiejąc się) at figle wam w głowie, panie Walenty.

Walenty. Nie możecie tego pojąć od razu, ale ja wam zaraz wytłumaczę na rozum, mój Grzela. Wiecie przecie, że woda jak się mocno rozwarzy i rozkipi, to ucieka w parę, podobnie jak i para kiedy zastygnie i zgęstnieje, to przechodzi w wodę.

Grzela. Toć prawda; podnieść tylko pokrywkę z kipiącego barszczu, a zaraz cała zaleje się kroplami, a chuchnąć jeno w dłoń, to zaraz wilgoć osiada.

Walenty. Otóż widzicie, mój Grzela, potrzeba tylko okrutnie rozegrzać wodę, a zaraz wam będzie parowała i jeżeli nie zgasicie ogień, to nie przestanie parować, aż wam cała uleci. A ta para jak wiecie sami, koniecznie pnie się w górę, a zamknięta nawet w małym tylko garnku, tyle ma siły, że pokrywkę zrywa z wierzchu.

Grzela. Toć prawda, o tem to już i moja baba wie.

Walenty. A widzicie, cały wynalazek kolei żelaznej na tem stoi jedynie. Ta maszyna na przedzie, coście ją mieli za schowek diabła, to tylko na prawdę wielki kocioł jak w gorzelni, z wielkim piecem i takiem urządzeniem, że wszystka woda w nim przechodzi w gęstą i silną parę, a ta para nie

może wymykać się w powietrze, ale musi całą mocą cisnąć naprzód i tym sposobem pociąga za sobą nietylko całą maszynę, ale i wszystkie przyczepione do niej wozy.

Grzela (łapie się oboma rękami za głowę). Dla Boga co ja słyszę! Toć w tym wielkim kotle gotuje się woda, z wody idzie para, a ta para nie mając drogę uciekną́ć, wszystka naraz ciśnie naprzód i tym sposobem ciągnie cały Ajzy... chcę mówić wszystkie wozy za sobą.

Walenty. A tak, nie inaczej, mój Grzela, para prąc i rwąc się z okrutnym naciskiem naprzód, ciągnie wozy tak szybko i gwałtownie, jakby żadne konie tego nie potrafiły, a ten co stoi przy onym kotle, to tylko uważa, żeby znowu za wielki od tej pary nie był nacisk, i też dla tego znowu są żelazne szyny wszędzie położone po drodze, aby koła wozów toczyły się szybko i regularnie i nie nabawiły nieszczęścia. I wreszcie kiedy najlepszemi końmi i najlepszym wozem na godzinę zwyczajnie nie ujedzie się jak milę, to po kolei żelaznej z największemi ciężarami robi się przynajmniej cztery mil na godzinę.

Grzela. Mocny Boże co ja to słyszę! Ale zmiłujcie się, panie Walenty, komuć to przyszło pierwszemu na rozum, żeby w ten sposób takową parę zaprzęgać bez lejców i naszelników do tyla wozów i poganiać tak prędko, a nie potrzebując ani machnąć biczyskiem.

Walenty. Jak wszystko na świecie, nie od razu rozwinął się i ten wynalazek. Jeszcze przed dwiestu laty przyszedł on był na myśl pewnemu Francuzowi, ale czy on sam nie umiał go jeszcze jasno wypowiedzieć, czy świat nie umiał go dobrze zrozumieć, dość że biednego Francuza wzięto za warjata i zamknięto w domu obłąkanych. I całe dwieście lat nikt już nie wspomniał o tem, aż na początku naszego dopiero wieku Anglik, imieniem Watt, urządził z własnego wymysłu pierwszą maszynę parową, a drugi Anglik Stefenson użył tej maszyny do kolei żelaznej.

Grzela. Mocny Boże, co to może rozum ludzki!

Walenty. Przez miesiąc cały, mój Grzelu, nie opowiedziałbym wam wszystkich dobrodziejstw i korzyści, jakie spłynęły na świat z tego zbawiennego wynalazku. Ile to przez to oszczędzili sobie ludzie tego najdroższego skarbu na świecie — czasu. Zamiast

kilka dni spędzać na jakiejś koniecznej podróży, człowiek obywa się kilkunastą godzinami. A ileż jeszcze to kosztów, ile trudów oszczędza się człowiekowi! A z handlu jakie zyski! Ciężkie bryki co ledwo sześcią końmi mogły wlec się noga za nogą, przelatują dziś jak ptaki sto mil blisko na dobę, więc i towar musi być tańszy i zysk dla kupca większy. At, żeby wam dobrze powiedziećna rozum, przypomnijcie sobie jakeście za młodu woły pędzili do Ołomuńca.

Grzela. Ojoj, co to się człek nabiedował w drodze, a co kilka mil to jakiś przypadek! kilkanaście sztuk najmniej musieliśmy zawsze zostawić w drodze, a reszta na pół schudła nim doszła.

Walenty. Otóż widzicie, dziś jednego dnia z wołami siądziecie na kolej w Przeworsku, a na drugi dzień jesteście w Ołomńcu.

Grzela. A niechże pan Bóg błogosławi tej kolei i tym ludziom co ją wymyślili! Jużci kiedyście mi tak wszystko dobrze wytłumaczyli, to już wiem co kolej i muszę też zaraz wszystko opowiedzieć w niedzielę w naszej gromadzie, aby wszyscy wiedzieli, że to nie jest żaden wynalazek czartowski.

RÓŻNOŚCI.

Co lepiej: podwodzić czy też łagodzić? Pewien książę za jakieś tam ważne przewinienie skazał był jednego ze swoich sług na śmierć. Napróżno nieboraczysko chciał pana ubłagać, prosił, zaklinał, całował po nogach — książę zawziął się okrutnie: nie i nie — i odtrącił niemiłosiernie sługę a żołnierzom rozkazał aby go precz wzięli. Wtedy skazany widząc, że już nie wyprosi się od śmierci, srodze się na księcia obruszył, co był taki nieczuły i począł strasznie na niego wyzywać. Książę wprawdzie zmiarkował, że on tam coś bardzo wykrzykuje, ale z daleka nie mógł słów zasłyszeć; więc zapytał jednego ze swoich dworzan, co by on mówił? Dworzanin, widać jakiś uczciwy człek, nie chcąc księcia jeszcze bardziej drażnić, powie:

— Mości książę! on mówi iż ten co okaże miłosierdzie na tym świecie, dozna go na tamtym, gdzie wszyscy będą zarówno sądzeni, tak wielcy jak mali.

Książę wzruszony temi słowy, podarował życie winnemu. Aliści był tam drugi dworzanin, człek kiepski co jeno na każdego podwodzić lubiał. Ten się teraz odezwał:

— Mości książę, to nieprawda! ten nędznik coś go teraz ułaskawił, nie wart tego bo on ciebie przeklinał.

Książę zdumiał się na razie i pilnie spojrzał po jednym i drugim dworzaninie. Nareszcie rzekł:

— Łaski mojej nie cofam. Tobie zaś coś mi prawdę powiedział, mówię żeś gorszy od kłamcy. On kłamiąc, ocalił życie bliźniemu, ty mówiąc niby prawdę, chciałeś go zabić. Wszakże, dodał zwracając się do pierwszego — nie kłam mi odtąd.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**